Nr. 16. Warszawa, d. 16 Sierpnia 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W sierpniu wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), głuszce (koguty), cietrzewie (koguty), jarząbki (koguty), oraz na wszelkie ptactwo przelotne, a od 1 (14) sierpnia i na jelenie (byki), zające, głuszce, cieciorki, jarząbki (kury), kuropatwy i dropie.

Lunacya w sierpniu.

Ostat. kw. d. 18 o g. 10 w.
Nów d. 26 o g. 12 w nocy.

Wschód i Zachód Słońca

w sierpniu.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	4	44	7	24
17	4	45	7	22
18	4	47	7	20
19	4	49	7	18
20	4	50	7	16
21	4	52	7	14
22	4	54	7	12
23	4	57	7	10
24	4	58	7	8
25	4	59	7	5
26	5	1	7	3
27	5	3	6	58
28	5	5	6	54
29	5	7	6	51
30	5	8	6	49
31	5	10	6	48



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 226.

Nr. 16.	Warszawa, d. 16 sierpnia 1908 r. Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	Rok X.

VI Warszawska Wystawa Psów.



„Nero", setter angielski, nagrodzony medalem srebrnym.
Własność p. Kleyna.

JAN SZTOLCMAN.

PTAKI DRAPIEŻNE DZIENNE
kraju naszego.

(Ciąg dalszy).

Orzeł bielik *(Haliaëtus albicillus).*

Jest to niewątpliwie największy z naszych orłów, gdyż bywają samice, mierzące do 1,000 mm. długości całkowitej, a w rozpięciu skrzydeł (siągu) do 2,425 mm., gdy u orła królewskiego i u zysa maksymalnie pomiary te wyrażają się w liczbach 930 mm. i 2,280 mm. Różni się orzeł bielik od swych pobratymców, orłów właściwych, tem, że posiada dolną część skoku obnażoną, gdy tamte mają cały skok opierzony. Dziób bielika jest znacznie silniejszy (dłuższy i wyższy), aniżeli u orła królewskiego i zysa. Ogon jest mocno klinowaty, to jest, że skrajne sterówki są najkrótsze, a środkowe — najdłuższe. Łapy posiada ten gatunek potężne, a pazury silnie rozwinięte.

Ptak stary posiada całą głowę, kark, podbródek i wole jasno-płowo-szare z ciemniejszemi stosinami piór; całe ciało jest pokryte piórami ciemno-brunatnemi, mniej lub więcej szeroko obrzeżonemi kolorem szarym, co czyni, że na płaszczu (to jest na plecach i pokrywach skrzydłowych) przeważa kolor szary, a na brzuchu — kolor brunatny. Nogawice i podogonie jest ciemno-brunatne. Ogon składa się z piór czysto białych, dość mocno klinowatych i stopniowo od zewnątrz ku środkowi wydłużających się. Dziób wraz z woskówką i nogi koloru wosko-wo-żółtego; tęcza brunatna.

Ptak młody bardzo się różni ubarwieniem od starego, a mianowicie wierzch głowy i kark są bardzo ciemne, brunatne z nieznacznie światlejszemi końcami piór. Wierzch ciała pokryty jest piórami koloru szaro-płowego, przyczem końce piór są ciemno-brunatne. Im zakończenie ciemne jest mniej rozwinięte, tem silniej występuje kolor szaro-płowy, jak np. na pokrywach skrzydłowych. Spód ciała jest ciemno-brunatny, z płową podłużną pstrocizną. Nogawice prawie jednostajnie ciemno-brunatne. Podogonie brudno-białe z grubą, ciemno-brunatną pstrocizną. Pióra ogona są wzdłuż stosiny brudno-białe, czarniawym kolorem upstrzone; brzegi ich, oraz końce są czarniawe. Dziób u młodych jest czarny, woskówka i nogi mocniej aniżeli u starych — żółte.

Przejście od jednego ubarwienia do drugiego odbywa się bardzo powolnie. Wodzicki obserwował te przemiany u chowanego ptaka i zauważył, że dopiero po czternastu latach ustały, to jest, że dopiero po tak długim przeciągu czasu orzeł dochodzi pełni rozwoju.

Pomiary: długość całkowita 780 do 1,000 mm., siąg 2,155 do 2,425 mm.

Orzeł bielik zamieszkuje Grenlandyę, Islandyę, wyspy Faeröe, całą Europę, północną Azyę, Kamczatkę, wyspy Aleuckie, Japonię i Chiny, aż po Amoy. Spotyka się także niekiedy w północno-zachodnich Indyach. U nas jako ptak, trzymający się większych wód, chętniej przebywa na wschód od Wisły, aniżeli na zachód, gdyż lasy zachodniej części Królestwa są dlań za suche. Pospolitszym jest na Litwie, aniżeli na granicach Królestwa. W Galicyi ma być rzadszy od orła przedniego.

Zarówno bielik, jak i wszystkie pokrewne mu gatunki, noszą nazwę orłów morskich, a to dla tego, że ptaki te chętnie przebywają na brzegach morskich, gdzie obfitą karmę w postaci morskich ptaków, młodych fok, delfinów, wreszcie ryb — znajdują. Jeżeli zaś bielik zapuszcza się w głąb lądów, to zwykł osiedlać się w pobliżu wielkich rzek lub jezior.

Bielik odznacza się wielką odwagą i drapieżnością. Według słów Wallengrena chętniej nawet atakuje te zwierzęta morskie, które nurkują, aniżeli te, które po powierzchni wody pływają. Młode foki porywa często w oczach ich matek. Taczanowski utrzymuje, że bielik, łowiąc ryby, nigdy się nie zanurza, jak to czyni rybołów; przeciwnie, Brehm jest zdania, że ptak ten w razie potrzeby zanurza się całkowicie w wodzie. Atakuje czasami ryby, których unieść nie może, a skutki tej śmiałości bywają dlań nieraz fatalne. Tak np. Lenz widział orła bielika jak w bliskości Havel'u rzucił się na sporego jesiotra, którego nie mógł do góry unieść; z drugiej strony, ryba nie była dość silną, aby go w nurty wody za sobą pociągnąć. Mknęła więc po samej powierzchni, unosząc przyczepionego do grzbietu ptaka; rzekłbyś — statek żaglowy, płynący z nadzwyczajną szybkością. Walkę tę spostrzegli z brzegu rybacy, popłynęli więc łodziami i rybę wraz z drapieżnikiem wzięli.

Na stałym lądzie bielik atakuje wszelkie mniejsze czworonogi, jak zające, młode sarny, a nawet lis nie jest wolny od jego napaści, mimo, że ma tak doskonałe środki obrony. Von Homeyer widział pewnego razu orła bielika atakującego lisa, a świadkowie najzupełniej godni wiary zapewniali tego autora, że w podobnych okolicznościach lis prawie zawsze zostaje pokonany przez orła, który przypuszcza nieustający atak, unika nadzyczaj zręcznie zębów swego przeciwnika i nie daje mu ujść do la-

W PRZEDEDNIU WIOSNY.

(Dokończenie).

W kwadrans później, doszedłszy do wązkiej szyi, łączącej z sobą Skarcin z Prodażyszczem — dwie wyspy prastarego czarnego lasu, zaszyłem się w gęsty bukiet olchowych pędów, wyrastających z pnia zrąbanego przed kilku laty drzewa. Czekać musiałem długo, bo Nielubowicz miał spory kęs drogi do przebycia, wiedziałem zresztą, że dochodząc do legowiska wilka, będzie się on skradał, jak kot, starając się podejść na strzał do swej ofiary; nie było to wykluczonem, ponieważ najedzony wilk śpi niekiedy bardzo twardo, zresztą miękki śnieg i wiatr, huczący w wierzchołkach drzew, tłumiły odgłos kroków. Czas dłużył się okropnie; co chwila oczekiwałem fatalnego strzału, z którym miały się rozwiać moje nadzieje.

— Paszon... paszon... — przyniósł mi wiatr przeciągłe, przez odległość tłumione hukania. Zadygotała strzelba w rękach, oczy niespokojnie zaczęły przebiegać z miejsca na miejsce, ale w ciemnych lukach między pniami drzew panował spokój niczem niezmącony, tylko wysoko nad lasem przepłynęło stadko cietrzewi i rozsiadło się na wysokiej, odosobnionej brzozie. Patrzałem przez jakiś czas na czarną sylwetkę tego, co siadł najwyżej i, skubiąc pączki, kołysał się na uginającej się pod nim gałązce; później spojrzałem niżej, na białą płaszczyznę łąki międzyleśnej, zwanej Uhłami i, jak oparzony, wyskoczyłem ze swej kryjówki: środkiem łąki, daleko po za granicami strzału, biegł wilk, nie śpiesząc się zbytnio, i już dosięgał lasu. Dążył on w kierunku granicy, gdzie do naszych lasów przytykały olbrzymie poleskie knieje sąsiedniej ordynacyi; tam mógł się czuć zupełnie bezpiecznym przed naszą pogonią. Na granicy tej, która kilka wiorst biegła w prostym kierunku, przecinając głuche lasy z porozrzucanemi tu i owdzie malowniczemi łączkami, znałem jedno dobre miejsce, którego nie mógł ominąć wilk, sądząc z kierunku, obranego przez niego dla ucieczki. Wszystko teraz zależało od tego, kto pierwszy stanie na owym przesmyku.

Rzuciłem się w las i wnet, po pierwszych kilku skokach zapadłem się po pas prawie w głęboki śnieg i niezamarznięte pod nim błoto; wyrwałem się z tamtąd i pognałem dalej, lecz im dalej, tem gorzej było posuwać się naprzód, bo sił ubywało z każdym krokiem, a śniegu i błota wszędzie było wbród, to też spory kawał czasu musiał

su, gdzieby lis znalazł skuteczną zasłonę. Bielik posuwa swe zuchwalstwo do tego, że atakuje cielęta, a nawet niekiedy na dzieci napada. Z ptactwa chętnie porywa gęsi, kaczki erdredonowe, oraz wszelkie ptactwo nadmorskie. W braku lepszej strawy nie gardzi też i padliną, a jako dowód, jak jest na nią łakomy, przytoczyć można obserwacyę d-ra Dybowskiego, który w zatoce Striełok zakładał mięso zatrute, aby łowić orły morskie *(Aquila pelagico)* i w ciągu kilku dni znalazł 18 zatrutych orłów bielików.

Z powyższych danych staje się widocznem, że bielik jest nadzwyczaj szkodliwym dla prawidłowych gospodarstw łowieckich, na szczęście jednak jest u nas dostatecznie — rzadkim ptakiem, aby mógł wywierać wpływ poważny na hodowlę zwierzyny.

Ptak ten w krajach nadmorskich lęże się na niedostępnych skałach nadbrzeżnych, w głębi zaś lądów — na najwyższych drzewach sosnowych, dębowych, czasami na niezbyt wysokich olchach, o ile te znajdują się wpośród błot mało dostępnych. Dr. Dybowski widział nad Argunią i jej przytokami gniazda bielika umieszczone na brzozach łozowych. Gniazdo jest znacznie obszerniejsze od bocianiego, a według d-ra Dybowskiego mierzy 160 centymetrów średnicy i około 25 cmt. głębokości. Zbudowane jest z grubych gałęzi, a wysłane wewnątrz perzem, darniną i drobnemi gałązkami. Według Taczanowskiego bielik już w lutym zaczyna słać gniazdo lub poprawiać stare. Znoszonych przez się materyałów nie kładzie bezpośrednio na gnieździe, lecz je spuszcza z wysokości przelatując i nigdy nie chybia, a dopiero po kilkunastu takich odwiedzinach zasiada na gnieździe i zaczyna gałęzie porządkować.

Według zdania obserwatorów, bielik zaciąga węzeł małżeński na całe życie, musi jednak często bronić swych praw mężowskich od różnych intruzów, a gdy zostanie w walce pokonany, ustępuje miejsca silniejszemu.

Samica niesie w końcu marca jedno lub dwa jaja (Brehm mówi, że czasami trzy, a Schilling, — że nawet cztery). Taczanowski utrzymuje, że jedno z dwóch jaj jest zwykle niepłodne. Jaja są koloru czysto-białego, kształtu jajowatego, rzadziej eliptycznego, dość wydłużone. Pomiary jaja mniej więcej 70 × 55 mm. Młode wylęgują się w początkach maja, w początku czerwca zaczynają w pióra porastać, a w końcu tego miesiąca już z gniazd zlatują.

Orzeł bielik oswaja się z łatwością i przyucza do łowów podobnie, jak sokoły. Ludy azyatyckie tresują je do łapania zajęcy i antylop.

(C. d. n.)

Polowanie na tygrysy w Tonkinie.

W roku zeszłym kikakrotnie dawaliśmy w „Drobiazgach myśliwskich“ naszego „Łowca Polskiego“ ciekawe urywki, dotyczące myślistwa, wyjęte z „Kartek z podróży“ p. Wł. J., drukowanych w „Słowie“. W ostatnich listach tegoż autora, Polaka, pułkownika wojsk francuskich, bawiącego w kraju Annamu, spotykamy znowu urywki, dotyczące myślistwa, a zwłaszcza obszerny opis polowania na tygrysy.

Z miejscowości Bao-Ha, pisze on pod datą 15 lutego 1908 r.: „Okolica górzysta, dzika, zarośnięta gęstym krzakiem i drzewami, między któremi gnieżdżą się pawie, bażanty, jelenie i tygrysy“.

Dalej opowiada o p. Dubois, który mieszka w forcie Port-Valu, miejscowości tak gęsto zamieszkanej przez tygrysy, że powracając z biura po zachodzie słońca do swego mieszkania, leżącego o 300 kroków, musi codziennie kazać się odprowadzać przez uzbrojoną eskortę i z pochodniami. Kilka lat temu w tej okolicy jeden z poruczników Legii Zagranicznej, powracając ze spaceru, spotkał wieczorem starego tygrysa. Porucznik był siły herkulesowej. Czuł jednak, że wkrótce będzie rozszarpany, postanowił więc drogo swe życie zapłacić. Nie mając przy sobie broni, schwycił za obok leżący, okrągły kamień i zwrócił się śmiało ku tygrysowi. Tygrys, przysiadłszy na zadnich łapach, zaryczał dziko, poczem z rozwartą paszczą rzucił się na ofiarę. Wówczas, w chwili psychologicznej, porucznik oparł się z całą siłą lewą ręką o piersi tygrysie, a prawą, uzbrojoną kamieniem, wpakował z szybkością błyskawicy w głąb rozwartej paszczy, zaszpontował kamieniem tygrysowi gardło i w ten sposób rozwścieczoną bestyę udusił. Tygrys w konwulsyach skonał u stóp jego. Ale, na nieszczęście, przed śmiercią, zwierz zdążył swymi potężnymi pazurami wyrwać porucznikowi pół piersi, rana zaś, nie będąc dostatecznie obmyta antyseptycznymi środkami, zakończyła się gangreną, przyczyniając śmierć nieszczęśliwego oficera. Porucznik żył jeszcze sześć dni po tym wypadku, z których dwa pierwsze w zupełnem obłąkaniu, spowodowanem przez silne wstrząśnienie nerwowe.

W Tonkinie polują na tygrysy najczęściej bez naganki. W tym celu myśliwi śledzą najpierw przez parę tygodni z rzędu i z wszelkiemi ostrożnościami miejsce, do którego tygrysy chodzą zwykle pijać przed wschodem słońca. Następnie, wybrawszy jedną z nocy księżycowych, zbierają się w pewnem miejscu, położonem na kilkanaście metrów od wyśledzonego strumienia, i zaraz

---

upłynąć, zanim przebyłem oddzielającą mnie od granicy wiorstę drogi i zziajany, spocony, bez tchu prawie osunąłem się za pień olbrzymiego świerku, który od kilku lat, zwalony burzą, leżał wpoprzek linii granicznej na t. zw. „hradce“, t. j. podługowatej, suchej wysepce, leżącej wśród błot.

Oparłem spocone czoło o zimny, świerkowy pień i chciwie łowiłem ustami powietrze; kiedym po raz pierwszy podniósł głowę, na linii granicznej, o kilkaset kroków ode mnie, stał „on“ i patrzał w przeciwną stronę; po chwili wahania odwrócił się i lekkim, tym prawdziwie „wilczym“ truchcikiem pobiegł wydeptaną środkiem linii ścieżką, jakby gnany przeznaczeniem, ku dwom czarnym otworom opartej o pień dubeltówki. Za późno już było, gdy w odległości dwudziestu kilku kroków spostrzegł mię i nagle przysiadł na tylnych łapach, jakby chcąc uskoczyć w bok: błyszcząca muszka oddawna znalazła wygodne oparcie na jego szerokiej, kosmatej piersi. Dziewięć loftek, z których składał się nabój, dobrze spełniły swą funkcyę, bo, gdy dym się rozwiał, wilk już nie żył, tylko pośmiertne drgawki wąsatych warg jego odsłaniały od czasu do czasu białe kły.

Zamiast zerwać się i zblizka przyjrzeć powalonemu drapieżnikowi, leżałem, pogrążony w jakąś tępą apatyę, wpatrując się w szkliste spojrzenie wilczych oczu i wciąż jeszcze machinalnie trzymałem palec na lewym cynglu. Wiatr ustał i mgła zaczęła coraz niżej opadać, potęgując zmrok przedwieczorny i zacierając stopniowo kontury leśnych olbrzymów.

— O-ho-ho-ho... — huknął przeciągle w głębi lasu Nielubowicz, nie mogąc zoryentować się, w której stronie padł strzał. Nie zdawałem sobie sprawy, że trzeba mu odpowiedzieć, bo noc, otulona w siwe skrzydła mgły, siedzi już przyczajona w czarnych czeluściach lasu; zapomniałem nawet o wilku i celnym strzale, łowiąc uchem dziwne, podobne do skrzypienia nienasmarowanych kół, zgrzytliwe tony, dolatujące do mnie ze znacznej wysokości: to, skryte we mgle, leciały na północ łabędzie. Gdzieś zdaleka, z za lasów słychać było niewyraźne westchnienia budzącej się rzeki, co spała dotąd spokojnie wśród lasów i błot, a tuż, koło mnie, na stromym stoku „hradki“, odpowiadał jej lękliwym szeptem drobny strumyczek, skarżąc się z pod śniegu na tamujące go zapory.

Wiosna szła...

Józef Woyniłowicz.

z wieczora wykopują doły głębokości metra, starannie ukryte w krzakach lub trawie; doły są szczelnie zamknięte ciężkiem wiekiem z trzema otworami, dla rąk i głowy; każdy myśliwy usadawia się w swoim dole i wszyscy w cichości czekają aż do świtu, to jest, do chwili, kiedy tygrysy przychodzą do wody.

W Indyach, na tygrysy polują zwykle z naganką i na słoniach odpowiednio tresowanych. Tego rodzaju wyprawy, urządzane przez indyjskich nababów, wymagają około stu słoni, paręset służebników i kosztują mniej więcej 10.000 franków każde polowanie.

W miejscowościach zawierających dużo zwierzyny, tygrysy rzadko rzucają się na przechodniów. Tylko stare, wycieńczone tygrysy pożerają ludzi, zdobycz łatwą, nie przedstawiającą oporu. Rok temu, na manewrach, jeden z moich żołnierzy, stojący na pikiecie, został zaskoczony i porwany przez tygrysa; widzieliśmy z daleka, jak tygrys go unosił, nie mogąc go obronić! W niektórych miejscowościach żołnierze odbywają wartę w mocno zakratowanych budkach.

Pazury tygrysie, oprawione w złoto lub srebro, służą jako ozdoba dla tutejszych mieszkańców. Jeden z takich pazurów do listu swego dołączam.

Pan Dubois, niewiele mając do roboty, studyuje nadto psychologię dzikich zwierząt. Podczas mego pobytu w Port-Valu, widziałem u niego dwie roczne pantery, zupełnie oswojone. Te pantery, pomimo że należą do rodziny kotów, miały zwyczaj przy głaskaniu, lizać ręce głaskających, co jest zupełnie przeciwne naturze kociej. Oprócz tego, bez żadnego wstępnego tresowania, dzięki swej inteligentnej obserwacyi, pragnąc, naprzykład, wyjść z mieszkania na zewnątrz, otwierały same drzwi z klucza (?) jak również i spiżarnię z zapasami spożywczymi. Z psami żyły w doskonałej komitywie, nigdy nie ruszały ani ich strawy, ani przeznaczonych dla nich kości, chociaż między sobą pożerały się z zazdrości o najmniejszy kąsek.

Pan Dubois posiadał jeszcze inną kolekcyę. Tak naprzykład, dwa razy na dzień, na głos trąbki wojskowej, przed mieszkaniem pana Dubois zbierało się kilkadziesiąt dzików z sąsiedniego lasu. Przyczyną tego rzadkiego faktu była następująca historya: Przed kilku laty w forcie Port-Valu mieszkały w koszarach dwie roty Legii Zagranicznej. Legioniści dla własnego utrzymania, chowali parę oswojonych świń dzikich. Dziki dostawały strawę, złożoną z resztek żołnierskiego jedzenia, dwa razy na dzień, na głos trąbki wojskowej, tak samo jak żołnierze o godz. 10-ej rano i o 5-ej wieczorem. Po paru latach dziki tak się rozmnożyły, że przed wyjazdem legionistów z fortu, w ogrodzonym parku żołnierskim znalazło się przeszło 50 par. Nie mogąc zabrać wszystkich dzików z sobą, legioniści wypuścili większą część na wolność, a pan Dubois, mieszkający wówczas w forcie, postanowił nie zrywać stosunku z dzikami: trąbi dwa razy na dzień po żołniersku, jak przedtem, dziki zaś w nadziei otrzymania jadła, zbierają się po dawnemu przed opuszczonym fortem. Naturalnie, pan Dubois nie jest w stanie wyżywić potężnego stada, ale za to dziki żywią niemal wszystkich mieszkańców w całej okolicy.

Oprócz tego, pan Dubois hoduje kilkanaście ptaków, rodzaj dużych kaczek, zwanych w tym kraju „kormoranami",*) które posiadają wrodzone zdolności, jak niegdyś nasze sokoły, do polowania, a raczej do rybołówstwa. W tym celu, pan Dubois wyjeżdża łodzią na odkryte morze, zabiera z sobą klatkę z kormoranami i na miejscu wypuszcza ich na wolność. Ptaki, latając nizko nad powierzchnią morza, lub pływając po niem, chwytają z nadzwyczajną zręcznością dosyć duże ryby, które przynoszą w dziobach do łodzi, jak nasze psy myśliwskie zwierzynę. Połów jest tak obfity, że zwykle po godzinie pan Dubois powraca do domu z pełnym koszem ryb. Kormorany w okolicach Mon-Kay i wogóle nad brzegami Chin południowych są bardzo często używane do połowu ryb morskich przez tamtejszych rybaków, każdy ptak na szyi nosi szeroki pierścień metalowy, przeszkadzający mu połykać schwytaną rybę. Ażeby jednak ich nie zniechęcać do połowu, po każdem przyniesieniu ryby do łodzi, właściciel udziela ptakowi mały kąsek tejże lub też z innej ryby, przeznaczonej na ten cel.

*) Nie są to kaczki, lecz właściwe kormorany, które stanowią niezależną od kaczek grupę zoologiczną. *(Przyp. Redakcyi).*

LALIN.

(Ciąg dalszy).

Zawarczał groźnie i „Miszka", i zaczął śnieg rozgrzebywać nieco dalej i nieco więcej, jak o dziesięć kroków od miejsca, na którem stałem, potem zaszczekał i zaczął już na jednem miejscu ujadać, zaglądając przytem w dół, jak do studni. Nie było wątpliwości, że tu znajduje się barłóg.

Pnia, pod którym musiało być wejście do niego, nie było wcale widać z pod śniegu, chociaż drzewo leżało na skraju zawału, taka w tem miejscu była gruba warstwa nawalonego śniegu.

Lalin, który stał bardzo daleko od tego punktu, podszedł do najbliżej stojącej sosny i tam się ulokował, pozostając, pomimo to, zawsze więcej oddalonym od barłogu, aniżeli ja. Stanęliśmy więc znów, tak samo, jak przy pierwszym niedźwiedziu, z tą tylko różnicą, że Lalin tym razem o dwadzieścia kroków, t. j. dwa razy był dalej. Pamiętając niepraktyczność takiego starania, póki czas, pośpieszyłem i ja zmienić miejsce swoje, przechodząc na prawo przed wylotem barłogu i minąwszy go nieco, stojąc trochę na ukos, o piętnaście kroków pod średniej wielkości osiką.

Miałem kapitalne stanowisko, bo gawra była prawie naprzeciw, i gdyby niedźwiedź wyskoczył prosto i gdybym go nie zdążył strzelić w chwili pokazania się, to musiałby przebiegać obok mnie z lewej strony o jakie 5 — 6 kroków i przy każdym jego manewrze, zawsze miałem z tego stanowiska strzał doskonały.

Pomimo zajadłego ujadania psów, w barłogu panowało głębokie milczenie i zaczynałem tracić już cierpliwość, główinie z powodu zbliżającego się lada chwila wieczoru. Było około czwartej, i tarcza słoneczna widniała na zachodzie nad samymi wierzchołkami drzew.

Wreszcie doleciało uszu naszych, jak z głębi piwnicy, głuche podziemne mruknięcie; gospodarz przebudził się widocznie w swojem mieszkaniu w złym humorze, i powtórzyło się mniej więcej to samo, co w południe, przed trzema godzinami, tylko z paru jeszcze waryantami, bo „Miszka" tak gwałtownie atakował, że dostał po nosie łapą koło oka i krew mu na mordzie wystąpiła, omal nie wleciał przytem do środka, bo wyjście było strome. Znów Lalin musiał z miejsca schodzić i z całych sił odciągać swego faworyta, za co na wstępie został ukąszony w rękę w okolicy łokcia. „Wołczka" i „Łuszkę", również rozżarte, połapano i odciągnięto, ale zwierz uparł się i nie wychodził.

I znów Diaczenko spróbował manipulacyi z tyczką, ale i to nie pomogło, bo niedźwiedź uchwycił za koniec tyczki i nie puszczał; podano drugą tyczkę, i z tą to samo, co z pierwszą; spróbowano jeszcze trzeciej, i tę ten sam los spotkał.

Tu muszę nieco odbiedz od wątku opowiadania naszego, żeby „à propos" pokrótce zaznajomić czytelnika z praktykującemi się na Syberyi sposobami zamykania niedźwiedzia w barłogu. Jeden z nich polega na tem, że ma on zwyczaj, chociaż nie zawsze, podawane mu drągi i koły chwytać i nie puszczać, z czego korzystają „promyszlenicy", i z łatwością zatarasowują nieboraka w jego własnem mieszkaniu; potem, zabezpieczywszy się tym

sposobem od wyjścia groźnego zwierza, rozkopują ostrożnie sklepienie barłogu z wierzchu, i wstawiwszy w mały otwór koniec lufki, bez najmniejszego dla siebie ryzyka, zabijają bezbronnego, często nawet nie widzą go dokładnie. Istnieje jeszcze drugi sposób, cokolwiek szlachetniejszy i ryzykowniejszy; są to t. zw. „kresty“, czyli krzyże, a robi się je w sposób następujący: dwóch ludzi z gotowymi, grubymi i mocnymi drągami podchodzi jednocześnie z dwóch stron przeciwnych od tyłu i jednocześnie zakłada końce drągów do środka wylotu w taki sposób, żeby się one krzyżowały, nie puszczając z rąk trzymanych końców.

Takie ukośne skrzyżowanie drągów w ciasnem wyjściu tamuje, oczywiście, niedźwiedziowi swobodnie wyjście i wtedy trzeci, za ukazaniem się głowy swej ofiary, tak zamkniętej *„a bout portant“*, pali w łeb.

Nie każda jednak miejscowość jest do tego odpowiednia i nie każdy barłóg można „krestami“ zamknąć. Dzisiejszy pierwszy naprzykład, doskonale nadawał się do tego, jako z łatwym dostępem i płytki; w drugim zaś nie można było tego zastosować.

Lalin, który po odciągnięciu i ugryzieniu przez „Miszkę“, już nie wracał na swoje miejsce, ponieważ przechodzenie przed barłogiem było za ryzykowne w tej chwili, nie wiadomo zaś było wtedy, że niedźwiedź będzie taki uparty, a obchodzenie dookoła zawału, jak to na początku miało miejsce, t. j. z przeciwnej strony, za dużo czasu by zajęło, w którym właśnie mógł niedźwiedź wyjść na mnie jednego tylko; skombinowawszy to, pozostał *nolens volens* na mojem pierwszem miejscu od polany, zmieniając w ten sposób po raz drugi swoje stanowisko.

Zbyt widocznem było, że tym razem wszystkie szanse były na mojej stronie. Staliśmy pod prostym kątem na barłogu: z prawego boku Lalin, a ja od frontu. Słońce rzucało ostatnie promienie z za wierzchołków drzew i lada chwila miało się skryć aż do jutra. Po bezskutecznej próbie z trzecią tyczką, należało prędzej coś innego przedsięwziąć, czas bowiem naglił. Ktoś wpadł (zdaje się — przewodnik) na myśl strzelania śrótem do barłogu, na co się Lalin zgodził; co do mnie, uważałem za najwłaściwsze do niczego się nie mieszać.

Znalazła się u jednego z ludzi pojedynka, kapiszonówka, drobnym śrutem na jarząbki nabita, lecz zbliżyć się z nią do samego barłogu i strzelić, nikt nie śmiał; odważył się na to Anton, widząc nas w każdej chwili gotowych do strzału, i podszedłszy wprost do wylotu i niemal weń włożywszy lufę, strzelił i umknął co prędzej; po chwili, pozostawione w łapach niedźwiedzia tyczki, zaruszały się i opadły; jednocześnie zauważyłem osypujący się śnieg, co niezawodnie świadczyło o rychłem wyjściu.

Jakoż wnet, po osypaniu się śniegu, wydobywając się gwałtownie na zewnątrz, w pionowej prawie postaci ukazał się niedźwiedź. Niezdążył on zrobić nawet skoku, gdym już strzelił, mierząc w ucho, co mi było najdogodniejszem, ze względu na położenie zwierza, nieco w prawo zwróconego. Dostał on kulę w lewe ucho, i waląc się, zdołał zrobić jedyny i ostatni skok, do którego już muskuły i całe zewnętrzne dążenie, musiały być w chwili strzału napięte.

Zwalił się w kierunku Lalina, t. j. odemnie ku lewej stronie, i na chwilę wsparł się na przednich łapach, szeroko je rozstawiając.

Był to widocznie ostatni ruch w agonii, pomimo to jednak, Lalin strzelił raz na sztych, prosto w piersi, a potem, odwiódłszy prędko lewy kurek, drugi raz, już nie wiem gdzie, bo niedźwiedź, nie zmieniając pozycyi, tylko jeszcze więcej rozszerzając łapy w obie strony, rozciągnął się plackiem, jakby zawarował. Dla Lalina tego było za mało, bo w podnieceniu, czy roztargnieniu, zaczął wołać do mnie: „strielajtie, strielajtie!“. Po co raz jeszcze strzeliłem, uznając zupełną zbyteczność nietylko czwartego strzału, ale i dwóch poprzednich, t. j. drugiego i trzeciego, sam nie wiem; dość, że pod wrażeniem, czy też suggestyą wołającego Lalina, dałem jeszcze jeden strzał, zawsze do ucha celując. Ale i tego okazało się dla widocznie tracącego głowę i zalterowanego Lalina, za mało, gdyż powtarzał coraz głośniej swoje „strielajtie“.

Teraz, choćbym chciał nawet, nie mógłbym jego wołaniom zadość uczynić, dla tej prostej przyczyny, że nie miałem już więcej kul. O parę kroków od wylotu barłogu leżał, jak olbrzymie „presse papier“ na śnieżnym obrusie, nieruchomy niedźwiedź. Wszystko, co opisałem tu, od momentu, jakby sygnału, pierwszego strzału Antona do wnętrza barłogu śrótem, trwało kilka, może jakie dziesięć sekund. Doznałem wówczas niemiłego uczucia, z powodu tej, zupełnie niepotrzebnej strzelaniny, i śmiało powiedzieć można, że niedźwiedź ten nie zastrzelony był, a rozstrzelany, a to tem bardziej, że wszystkie kule były śmiertelne. Nie wyraziłem jednak ubolewania swego, zatrzymując je przy sobie. Lalin rzeczywiście jakiś był roztargniony niby i z mniejszym już zapałem zajął się operowaniem drugiej niedźwiedzicy, gdyż i tym razem okazała się niedźwiedzica, nieco mniejsza i jeszcze tłuściejsza, aniżeli pierwsza.

Mróz tężał, wieczór rozpoczynał się i zmrok już zapadał; na zachodzie dalekim, szerokiem, purpurowem pasmem rozciągała się jasność, zaznaczając miejsce, w którem przed chwilą zaszło słońce, a na tem tle, jakby olbrzymia, fantastyczna, ciemna koronka, ostremi strzępami siniała niezgłębiona tajga, kryjąca swe niezbadane tajniki, zawsze groźna i zawsze przez swą tajemniczość i czar tego, co kryje, pociągająca.

Dziwna reakcya, dziwny nastrój wewnętrzny i stan psychiczny w całem mojem „ja“ zapanowały teraz: jakieś niewysłowione, niezadowolenie i przygnębienie zarazem, niby wyrzuty sumienia, czego nigdy dotąd nie doznawałem, nie wiadomo zkąd i czemu, cisnęły się do mej duszy. Czułem jakiś, niczem nie wtłómaczony, nie opisany i tłumiony żal tych dwóch istot bożych, prawdziwych gospodarzy tajgi syberyjskiej, które człowiek przemocą wyparłszy, z ich legowisk, z ich prawej siedziby, z taką brutalnością potem pomordował.

Stałem tak, w zamyśleniu głębokiem pogrążony, nie zdając sobie sprawy z tego, co się ze mną i w koło mnie dzieje.

Z tego odrętwienia ocuciło mnie wezwanie do odwrotu; zebrani w gromadkę, ruszyliśmy tedy w stronę szałasu, pozostawiając i drugą niedźwiedzicę, w podobny sposób, jak i pierwszą, podwieszoną za łeb na grubym sznurze na gałęzi, a że, czy to gałąź za nizka była, czy sznur był za długo puszczony, dość, że cały zad dotykał śniegu i czynił z całej figury złudzenie, niby siedzącego zwierzęcia żywego z głową, w górę podniesioną, jakby uskarżającego się wschodzącym, pierwszym gwiazdom za los niesprawiedliwy, jaki je spotkał.

To mnie jeszcze więcej zdenerwowało i rozstroiło, i uczułem się niejako z duchowej równowagi wytrącony. Doszliśmy wkrótce do resztek szałasu, w którym tlał jeszcze, przed godziną rozniecony, ogień; zrobiliśmy naradę, co dalej począć. Byłem tak wycieńczony moralnie i fizycznie przejściami całego dnia, że gotów byłbym pozostać tu na nocleg. Możeby i reszta na to przystała, rozniecając suty ogień, gdyż znużenie w mniejszym lub większym stopniu, wszyscy odczuwaliśmy; gdybyśmy mieli czem wyczerpujące się siły nasze pokrzepić. Nikt z nas, niestety, literalnie nie miał ani okruszyny chleba. W warunkach takich urządzać nocleg nie było rzeczą zachęcającą, a chociaż wlec się po głębokim śniegu, zaledwie ciągnąc nogi za sobą, było również perspektywą nie do zazdrości, wybraliśmy jednak to ostatnie.

I zaczął się w milczeniu ponurem, przy oświetleniu księżyca, nasz pochód w mroźną noc listopadową. Nocy tej, z 14-go na 15-ty listopada 1904 r., do końca życia mego nie zapomnę.

(C. d. n.).

Cesarz Franciszek Józef I,

jako myśliwy.

Dwunastego czerwca zebrały się w Wiedniu wszystkie ludy Austro - Węgier, wszystkie stany i społeczne warstwy, aby złożyć hołd sędziwemu monarsze, aby uroczyście uczcić pamiątkę sześćdziesięcioletnich jego rządów. Nie brakło więc żadnego narodu, żadnego stanu—- a wszystkich wiodła serdeczna wdzięczność dla ojca monarchii, a wszystkich zagrzewało pragnienie, by uczcić go jaknajwspanialej.

Armia złożyła hołd najwyższemu wodzowi, rząd — najlepszemu kierownikowi, rolnicy — najtroskliwszemu ojcu i opiekunowi; nie mogło więc zabraknąć przedstawicieli łowiectwa, które tak wiele monarsze zawdzięcza. W szeregach obywateli, niosących hołd i cześć swemu cesarzowi, szły spore grupy Tyrolczyków, i Dalmatyńców, i Rumunów, i dzielnych naszych karpackich górali. Ci mieszkańcy gór i lasów złożyli Franciszkowi Józefowi hołd za to wszystko, co w kierunku łowiectwa, od pierwszych chwil panowania do dnia dzisiejszego, uczynił i czyni. Zasługi monarchy na tem polu — to przedewszystkiem: reforma ustaw łowieckich, ujęcie w pewne karby przywilejów szlachty, wogóle właścicieli obszarów leśnych i ziemskich, silne ujęcie w kluby ustawy karnej plagi kłusownictwa; jednem słowem, wprowadzenie w łowiectwo ładu, porządku.

Ośmnastoletni cesarz Franciszek Józef I-szy, zasiadłszy na tronie przed laty sześćdziesięciu, wniósł z sobą wszystkie najlepsze tradycye Habsburgów, tradycyjnie też pozostał wierny zamiłowaniu do myślistwa, poznał najdokładniej wszelkie braki i niedomagania na tem polu i znalazł sposoby na ich usunięcie. Nic więc dziwnego, że zjednało mu to serca, wdzięczność i stało się silnym węzłem, łączącym strzelecki świat, myśliwskie ludy z monarchą-opiekunem.

Jeden z myśliwych naszkicował obrazek z łowieckiego życia cesarza, na podstawie osobistych obserwacyj w latach młodzieńczych.

Doliny lasu wiedeńskiego, zwierzyniec cesarski, równiny Prateru — to najpowszedniejsze terytoryum polowań cesarskich. Pączki młodziutkie zakwitły na drzewach — budzi się wiosna; świat, ocknąwszy się z letargu zimowego, dźwiga się do pracy i życia... O wschodzie słonka, czy przy jego zachodzących promieniach, widać setki dzielnych strzelców, otaczających cesarza, wyczekujących zwykle bardzo krótko, kiedy z karabinku cesarskiego padnie pierwsza sztuka.

To znowu przywozi pociąg kolei żelaznej monarchę przez Semmering, w południowe krainy państwa. Cieszą się wierni Tyrolczycy, że ich najlepszy cesarz między nimi... Wierni, bo to istotnie najwierniejsi z wiernych, ci mieszkańcy gór.

W stroju myśliwskim, jaki tu mieszkańcy noszą, wspina się cesarz po szczelinach skalnych. Jednego ranka padło siedm kogutów, w ciągu wiosny trzydzieści jeden, a od wstąpienia na tron, w r. 1848 do roku 1884, zabił cesarz w górach Payerbach, w Reichenau i Mürzzuschlag 652 starych i 54 młodych głuszców. Myśliwy, znający Alpy, zrozumie, że to spora liczba.

Porą letnią przebywa cesarz niemal zawsze w Ischlu, nad brzegami szumiącej Trauny. Prześliczna to miejscowość; wogóle całe Salzkammergut, z śnieżystą obręczą skał, należy do najpiękniejszych, najwspanialszych widoków.

Żyje tu cesarz naprawdę po myśliwsku. Etykieta dworska znika, wygody maleją do najmniejszego zakresu. Domek strzelecki, urządzony po prostu, ozdobiony tylko trofeami myśliwskiemi, rogami i paru obrazami z łowieckiego życia.

Wczesnym rankiem pomyka po jeziorze szybko łódka, w niej płynie monarcha z karabinkiem w ręku...

Nadszedł wreszcie wrzesień i październik, jeleń zaczyna swoje wędrówki... Cecarz, w otoczeniu świty, w licznem gronie strzelców, staje na myśliwskiem stanowisku. I do dziś dnia, dla starca 78-letniego niema trudu zbyt wielkiego, niema skały nadto stromej, niewygody zbyt dokuczliwej. Wprost nie do uwierzenia wydają się cyfry, które tu przytaczamy: od r. 1848 do 1884 upolował Franciszek Józef I-szy 1,729 sztuk jeleni.

Jeszcze raz później powraca cesarz w Alpy, t. j. późną jesienią, lub w zimie, gdy śnieg pokrywa góry, gdy je biały całun do snu utula, a rok kalendarzowy, schodząc do grobu, ustępuje miejsca nowemu rokowi.

Alpy, to najulubieńszy teren myśliwski cesarza, tu przebywa najchętniej, bo on właściwie jest górskim myśliwym. Kochają go alpejscy górale serdecznie, wdzięczni za życzliwość, za dobrodziejstwa, wdzięczni za to, że przybiera tu ich strój narodowy, że zbliża się do nich, nie jako cesarz i pan, ale jak brat i ojciec.

Wyprawa myśliwska pod równik

skreślił

LEON HORODYSKI.

(Ciąg dalszy).

Dostarczają oni wszystkiego, począwszy od ludzi, aż do namiotów i pożywienia, lecz należy być w wyborze takiego przedsiębiorcy bardzo ostrożnym, bo wyzyskiwaczy jest bez liku, pamiętać należy, że Europa reprezentowaną jest tam w przeważnej części przez swoje szumowiny. W Europie spotkać się można z broszurą, drukowaną, niejakiego Hübnera, który najuprzejmiej zaprasza do siebie, do Kibweri, stacyi kolejowej, położonej między Mombasą a Nairobi.

Specyalnie muszę przestrzedz przed wchodzeniem w stosunki z tym panem.

Piękne jego prospektowe wywody wcale nie zgadzają się z prawdą i rzeczywistością i można doznać wielu zawodów, zwłaszcza, jeżeli związałoby się z nim naprzód listownie z Europy, jak tego prospekt wymaga. Korzystniej jest wziąć sobie jakiś dom komisowy w Mombasie, dla urządzenia, co potrzeba, albo też udać się wprost do Nairobi i tam znaleźć agenta, który złoży karawanę, stosownie do życzenia i wyekwipuje ją. Jakiś agent jest w każdym razie potrzebny.

Kongoni — Bubalis-Hartebeest.

Każde zwierzę ma miejsca ulubione, w których stale przebywa, odpowiadające lepiej jego naturze, i myśliwy może, po zoryentowaniu się, z pewną dokładnością orzec, jaką zwierzynę w danej miejscowości prawdopodobnie napotka, lub wymienić tę, której z pewnością nie będzie. Spostrzeżenia, zrobione w ciągu mych myśliwskich wycieczek na antylopach kongoni, wykazują jednak, że do nich nie można zastosować zdania, powyżej przytoczonego. Zwierzętom tym wszędzie jest dobrze, na okiem nieobjętych równinach o bujnej trawie, na kamienistych wzgórzach, w krzakach i lasach drzew kolczastych, blizko wody i miejscach, dziesiątki kilometrów od niej oddalonych. To łatwe przystosowanie się do wszelkich warunków bytu, przypisuję bardzo odpornej naturze zwierzęcia, zadawalającej się jakiembądź pożywieniem i objawiającej się także niezwykle twardem życiem — miałem sposobność często przekonać się o tem.

Kongoni wielkością zbliżają się do jeleni, kolorem przypominają nasze kozły w lecie, a w stepie wyglądają, jak stado krów na pastwisku. Samce i samice posiadają rogi jednakowe. Grzbiet ich jest ku tyłowi bardzo spadzisty, a ponieważ mają nader charakterystyczny, krótki galop, polegający na odbijaniu się wszystkiemi czterema nogami razem, wyglądają w biegu, w wy-

sokich trawach, jakby łódki, falami kołysane. Wzrok mają doskonały; tam, gdzie oko ludzkie jeszcze nic nie rozróżnia, widzi się przez szkła, że kongoni już obserwują nowych przybyszów. Wzrok nie jest jednak organem, przestrzegającym przed niebezpieczeństwem, chyba, że w pobliżu przedmiot jaki się poruszy; kongoni głównie węchem się kierują i na nim polegają, jeżeli zaś te dwa organy staną ze sobą w kolizyi, pójdą zawsze za wskazówkami węchu, nawet wbrew oczywistemu, sprzecznemu świadectwu wzroku.

Skonstatowałem tę okoliczność, ilekrotnie pędzono na mnie zwierzynę z dobrym wiatrem, a nie miałem w stepie dostatecznego ukrycia. Sprytu i pamięci kongoni nie okazują, obserwują myśliwego, jak długo ten się rusza, i pilnie strzegą się przed jego zbliżeniem — lecz gdy raz usiądzie w trawie lub za krzakiem się schowa, wnet zapominają o grożącem niebezpieczeństwie i dają się napędzić w to miejsce. Byki nie lubią się; dwa razy obserwowałem, jak postrzałka prześladowały, bodły i do ucieczki zmuszały. Antylopy te potrzebują ruchu, nieraz bez powodu puszczają się w swój miarowy, kołyszący galop, niby łódki na falach, dla zmiany pastwiska, w taki sam galop, jakim ruszają w razie niebezpieczeństwa. Dlatego też inne zwierzęta, zwłaszcza antylopy Granta, nie zważają na hasło kongonich, jak długo same nie spostrzegą słusznego powodu do ucieczki, i bywa to często dla nich zgubnem, gdyż kongoni większe, prędzej spostrzegają podsuwającego się myśliwego, Granty zaś, którym łby tylko wystają ponad trawami, nie mogą daleko widzieć. Jako bardzo wygodny i najpraktyczniejszy sposób polowania na kongoni, uważałem nagankę. Z reguły, wychodziłem rano z obozu w towarzystwie 10-ciu ludzi, pod kierownictwem strzelca, i gdy na kongoni miałem polować, ludzie zataczali wielkie półkole, o promieniu kilku kilometrów i pędzili zwierzynę przez powolne zacieśnianie. Przy takich nagankach trzeba było uważać nie tyle na dobre ukrycie myśliwego, ile na kierunek wiatru; ze złym wiatrem, chociażby to był najsłabszy zefirek, polowanie się nie udawało. Pogonka jedna trwała w równym terenie kilka godzin, w terenie falistym, gdzie myśliwy podsunie się niepostrzeżony, a naganka nie jest przy zachodzeniu widoczną, mogą być zataczane mniejsze koła — tak, że jest czas dziennie kilka naganek urządzić.

Rudel łatwo się rozbija, a jednostki łączą się z innemi grupami, które znów, wedle przypadku, zlewają się w jedno, nieraz ogromne stado, lub rozpadają na pojedyńcze sztuki; zajmującem jest śledzić ze szczytu pagórka, przez binokle, kalejdoskopowy niby ruch tych zwierząt.

Wspomniałem wyżej o twardem życiu kongonich; dla ilustracyi niech posłuży parę przebytych epizodów myśliwskich. Do napędzonego rudla zrobiłem trypleta na odległość 80 metrów, każda sztuka zaznaczyła, ale nic nie zmieniając tempa, tak, jak przyszły gęsiego, pogalopowały dalej w step wraz z innemi. W odległości mniej więcej kilometra, stado rozprószyło się i stanęło — postrzelone znajdywały się między zdrowemi. Postanowiłem nie urządzać drugiej naganki, która, ze względu na kierunek wiatru, dużo musiałaby czasu zabrać i nie mogła skończyć się przed zmierzchem, lecz zadecydowałem pójść samemu do antylop. Niebawem ruszyły się po kolei sztuki zdrowe,, a trzy postrzelone dały podejść się na strzał. Do najbliższej dałem dwa strzały w odstępie kwadransa, po których padła — drugą podbiegałem przez godzinę i dałem pięć strzałów, nim ją dostałem. Trzecia, podczas, gdy zajęty byłem dwiema poprzedniemi, znikła z oczu, musiała albo paść, albo zmieszać się z żyjącymi, zdrowymi kongoniami. Otóż przy oględzinach okazało się, że oba zabite kongoni, miały po trzy bardzo dobre strzały, a każda inna antylopa byłaby padła na miejscu od jednego takiego strzału.

Oba farbowały bardzo mało.

Przy innem spotkaniu, sztuka trafiona nawet nie zaznaczyła, lecz w galopie poszła dalej swoją ścieżką. Ponieważ strzeliłem na daleki dystans, uważałem strzał za chybiony i dopiero, gdy się półkole naganki ścisnęło, ludzie natrafili na farbę i zwrócili moją uwagę. Kilkaset kroków szedłem za całemi strumieniami farby, a gdy ślad zwrócił się w góry, posłałem strzelca tropem z dwoma ludźmi, a sam z resztą naganki obszedłem górę dokoła. Po dwóch godzinach powrócił strzelec drugą stroną i zaraportował, że kongoni farbował cały czas jednakowo na szczycie, że podszedł do stojącego i strzelił z ekspresa 577 kulą ekspansywną, po którym to strzale kongoni uciekł dalej, jakby nie trafiony, i dopiero za drugim strzałem w kark, padł.

Moja kula trafiła, jeżeli nie w komorę, to w każdym razie bardzo blizko niej, i wewnątrz ekspandowała. Z dymem padają tylko sztuki, w kark trafione, lub z przełamaną kością pacierzową, a wszystkie inne uciekają światami i najczęściej przepadają.

Mięso z kongoni jest dobrem w afrykańskiej, obozowej kuchni; o ile dobrem okazałoby się w Europie, orzec nie mogę. W Afryce, a zwłaszcza w czasie ekspedycyi w głąb kraju, każde mięso, dające się pogryźć, nazywa się dobrem. W posiadłościach angielskich wschodniej Afryki, znane są trzy gatunki kongonich: tak zwane Jacksons, Cooke's i Neumanns Hartebeest. Dwa pierwsze gatunki są pospolitsze, trzeci rzadszy i znajduje się tylko w wyższych położeniach, począwszy od Nairobi do Mt. Kenia. Wszystkie te nazwy są wzięte ze spisu, zawartego w tak zwanej „big game shooting licence“. Brehm nazywa inaczej pojedyńcze odmiany. Nie stanowi to ważnej kwestyi, zwłaszcza, że wszyscy godzą się na ogólną nazwę gatunku Bubalis (Kuh-antilopen).

Antylopy Grant.

Brehm pominął w swem dziele antylopy Grant, jakkolwiek zasługiwałyby na obszerniejszy opis i nawet na rycinę, gdyż nie są podobne do żadnych przez niego podanych gatunków. Uważam je za typ przejściowy między gazelami, a dużemi, ciężkiemi antylopami. Grantów nie możnaby użyć, jako przykładu do teoryi Darwina o przystosowaniu, głoszącej, że natura przez selekcyę, utrzymuje taką barwę na stworzeniach, aby były możliwie podobne do otoczenia i nie wpadające w oko. Są one wprawdzie jasno-żółte, trawa w około nich najczęściej także żółta, a mimo to tak odbijają od otoczenia połyskiem, że oko już na wielką odległość odróżnia małe świecące punkciki, niby białe chorągiewki, nim jeszcze jest w stanie poznać, że to żyjące stworzenia. Niejednokrotnie chwytałem za lunetę, spostrzegłszy Granty na horyzoncie i odkrywałem, że przy nich, a czasem i bliżej przed niemi, pasą się inne antylopy lub zebry, które nie wpadły w oko, chociaż są znacznie większe. Granty są wielkości danieli. Kolor sierci na grzbiecie i bokach jest szamowy, podbrzusze, przód szyi i lustro, śnieżno-białe, przejście od jednego koloru do drugiego odgraniczone jest ciemnym pasem. Samce mają rogi znacznie większe i grubsze od samic, rogi te są karbowane, czarne, w tył zakrzywione, i widocznie ciężą im, jak to można wnioskować z pewnego miarowego ruchu, który zwierzęta wykonywują w dłuższych biegach, jak gdyby chciały kończynami dotknąć grzbietu.

Przez lunetę można samce zawsze rozpoznać po rogach. Rogi samic są mniejsze, cienkie, proste i podobne do rogów gazell Thomsona. Granty żyją w rudlach, niezbyt dużych, od pięciu do dwudziestu sztuk i te nie rozbijają się tak łatwo, jak rudle kongonich, tworzą stalsze związki, prowadzone przez samice... Czasami spotykałem rudel bez samców, a pierwsze spotkanie było właśnie z tego powodu bardzo nieszczęśliwem — i zostawiło mi przykre wspomnienie. W nagance, urządzonej na widziane zebry i kongoni, wynurzyło się niespodzianie z poza pagórka pięć sztuk samic granta, które wziąłem za gazelle Thomsona. Wielkość sztuk, nie odpowiadająca Thomsonom, nie wpadła mi w oko, z powodu złej oceny odległości. Nic łatwiejszego w tropikalnych krajach, jak fałszywie ocenić odległość: czasem przedmiot mały wydaje się dużym i dalej położonym, czasem na odwrót,

przedmiot duży wydaje się mniejszym i bliższym, niż jest w rzeczywistości. Takie pomyłki wydarzają się najczęściej w stepach bezdrzewnych. Otóż w nagonce, o której mowa, gdy zebry i kongonie bokiem uciekły, zwróciłem całą uwagę nie tyle na owych pięć sztuk domniemanych Thomsonów, ile na konfiguracyę terenu i na punkta, w których najdogodniej byłoby mi strzelać. Padły trzy sztuki z piękniejszymi rogami, zadwolenie jednak ze zdobyczy niedługo trwało, pokazało się, że były to trzy samice i w dodatku wszystkie trzy kotne! Przez cały czas mego pobytu w pustkowiach afrykańskich, nie mogłem zapomnieć tej pomyłki i było to po części powodem, że w dalszym ciągu polowań, ze zbytniej ostrożności ubiłem już tylko jedną gazellę Thomsona.

(C. d. n.).

Poskramianie dzikich zwierząt.

Tryumf inteligencyi i zimnej krwi nad siłą brutalną, oto na czem polega sztuka poskramiania. Poskromić dzikie zwierzę to znaczy przekonać je, że się jest od niego silniejszym i że ono nie jest w stanie nam nic złego wyrządzić. Jest to jednak rzecz długa i trudna.

Oto dzikie zwierzę: lew albo tygrys, jaguar lub pantera. Schwytane w dzikiej puszczy rodzinnej, groźnie ryczące w ruchomem więzieniu, przybywa do swego pana, pełne gniewu i wściekłości. Radeby w jednej chwili wywrzeć swój gniew na nim, pokazuje kły i strasznym rykiem wita człowieka, zbliżając się do krat klatki. Gdyby pogromca wszedł wtedy do niej, zostałby natychmiast rozszarpany w kawałki. Jak tedy radzić sobie należy z rozwścieczonem zwierzęciem?

Za pomocą krzesła... zwyczajnego krzesła drewnianego, przeznaczonego z góry na stracenie.

Krzesło to wprowadza się do klatki z nadzwyczajną ostrożnością: zwierzę rzuca się na nie. W mgnieniu oka krzesło zniszczone, roztrzęsione, rozerwane w kawałki! Nazajutrz wprowadza się drugie krzesło, które ten sam los spotyka. Na trzeci dzień, gdy zwierzę ujrzy w klatce trzecie krzesło, a następnych dni czwarte i piąte i t. d., przestaje w końcu rzucać się na nie i niszczyć.

Pierwszy krok zrobiony. Następnie, podczas głębszego snu zwierzęcia, uśpionego za pomocą narkotyku, ludzie wchodzą do klatki, i kładą drapieżcy na szyję obręcz z przyczepionym do niej łańcuchem, którego drugi koniec przybija się do podłogi. Gdy zwierzę się budzi, pogromca wchodzi do klatki i siada na krześle...

Zwierzę chce się rzucić, ale łańcuch je zatrzymuje. Przez ośm dni drapieżnik szarpie się w ten sposób i wyczerpuje w daremnych wysiłkach; co dzień człowiek siada na krześle, aż w końcu zwierzę, widząc, że nie może temu przeszkodzić, godzi się z faktem.

Ale oto nadchodzi dla pogromcy najważniejsza chwila, w której trzeba się będzie narazić na niebezpieczeństwo. Zwierzę odwiązują z łańcucha, człowiek ryzykuje życie. Najczęściej w takich razach zwierzę rzuca się, jak piorun, wprost do gardła pogromcy, ten jednak, przewidując taki wypadek, zabezpiecza się odpowiednio. Do szyi przypina szeroki kołnierz, z grubej skóry, a do piersi przywiązuje grubą matę, rodzaj gorsetu ze słomy. Słoma jest najlepszą ochroną od strasznych pazurów zwierzęcia, które zsuwają się po niej, jako po szkle gładkiem. Wreszcie, jeżeli zwierzę jest nadzwyczaj niebezpiecznem, pogromca osłania głowę rodzajem żelaznej klatki.

W jednej ręce trzyma niewielkie widły, a w drugiej krzesło. W potrzebie krzesło staje się tarczą, a jego cztery nogi oddzielają człowieka od zwierzęcia. Pysk zwierzęcia wciska się między cztery nogi, gdy tymczasem widełki wstrzymują jego napór, nie raniąc jednak, gdyż końce widełek są stępione.

Zwierzę pada na ziemię, ale nie na długo, za chwilę rzuca się z nowym impetem. Pogromca, zlany potem, nie może jednak zmienić pozycyi. Rękojeść wideł co chwila spada na nos zwierzęcia, najczulszą część jego ciała. Po każdem takiem uderzeniu zwierzę cofa się, ale już wyjąc z bólu.

Po kilku podobnych starciach, zwierzę jest dostatecznie poskromione, uznało w pogromcy pana, którego jeszcze nienawidzi, ale już nie myśli o zadaniu mu śmierci. W tej pierwszej fazie poskramiania używa się oddzielnych specyalistów. Potrzebna tu nietylko odwaga i zimna krew, ale i sztuka odpierania ataków umiejętnymi ruchami, zapewniająca człowiekowi tryumf nad dzikiem zwierzęciem. Prawie wszyscy pogromcy utrzymują swoim kosztem takich specyalistów, ułatwiających im pracę, często z narażeniem własnego życia.

Ale uczynić obecność człowieka znośną dla zwierzęcia jest to zaledwie początek. Trzeba dojść do tego, aby zwierzę było posłuszne człowiekowi, by na rozkaz jego zwracało się na prawo lub na lewo, wchodziło na wzniesienie, siadało, utrzymywało się w równowadze na kuli lub żeby pozwoliło się zaprządz do rydwanu, mniej lub więcej rzymskiego. To już próba cierpliwości ludzkiej, wymagająca często kilku miesięcy. Pogromca zawsze jeszcze wchodzi do klatki z krzesłem i widełkami. Powoli jednak człowiek i zwierzę przywykają do siebie; kawałek świeżego mięsa poprawia stosunki. Pogromca sam już tylko daje pożywienie i dogląda zwierzęcia. Trzymając kawałek mięsa, każe postępować za sobą drapieżnikowi, przyzwyczaja go do zbliżania się i zatrzymywania w punkcie wskazanym.

Przychodzi wreszcie czas zaprzęgania zwierzęcia do pracy, nauczenia różnych sztuk, któremi zachwycać będzie publiczność.

Najprostszą umiejętnością jest skakanie przez baryerę, co osiąga się przez wzbudzenie strachu. Przy pierwszej próbie, pogromca bierze pręt żelazny, rozgrzany do białości i lekko dotyka nim zwierzę, które, uciekając, przesadza baryerę . Później wystarcza przymocować do końca pręta kawałek białego papieru lub coś błyszczącego, aby zmusić zwierzę do uciekania i skakania przez przeszkody, jakie napotka.

Jeżeli ruch, którego się wymaga od zwierzęcia, jest bardziej skomplikowany, trzeba się uciec do środków usypiających. Podczas snu zakładają zwierzęciu wędzidła i obręcz żelazną około szyi i ciągnąc za sznur, do niej przytwierdzony, zmuszają je do ruchów wymaganych. Tym sposobem np. uczy się zwierzę pozostawać w równowadze na kuli, zaprzęgać się do wozu, siadać na huśtawce i t. p., wreszcie wtedy następuje nauka najniebezpieczniejszego ćwiczenia: pogromca siłą otwiera zwierzęciu paszczę i wkłada w nią głowę.

Gdy do ruchów tych, wielokrotnie powtarzanych, zwierzę się dostatecznie ułoży, usuwa się wędzidło i obrożę, a zwierzę już samo wykonywa ćwiczenia żądane. Do wszystkich podobnych sztuk wogóle tresura polega na zrobieniu zwierzęcia maryonetką automatyczną, która, chociaż czasem podlegać jeszcze będzie napadom gniewu, wogóle jednak zawsze skończy na poddaniu się sprężynom swego mechanizmu.

Inne ćwiczenia mają za podstawę zrozumienie instynktów. Gdy pogromca po raz pierwszy wychodzi z klatki zwierzęcia, które zaczął tresować, rzuca się ono na drzwi, ale już po wyjściu pogromcy. Jest to rodzaj protestu po fakcie. Zamiast uspokoić zwierzę, należy je wtedy drażnić: zawsze potem, ile razy pogromca wystąpi przed publicznością, zwierzę nie omieszka powtórzyć tej samej gry, wstrząsać drzwiami klatki ku ogólnemu przerażeniu widzów. Również, gdy zwierzę zgrzyta zębami, pogromca nie stara się go uspokoić, jest to bowiem tylko wylew złego humoru, nie zaś oznaka niebezpieczeństwa.

(Dok. nast.).

Polowanie na kangury.

(Z opowiadań myśliwca australskiego).

Po długiej suszy spadł nareszcie upragniony deszcz, i w ciągu kilku dni zmieniła się zupełnie postać stepu. Zazieleniły się bujne trawy, — ocknęło się zamarłe życie. Trawa sięgała bydłu aż do kolan, i pierwszy raz oddawna mogło się ono napaść do syta, a i dla nas, hodowców, nastąpiła najpiękniejsza chwila w roku. Wody i żywności obfitość, stada pasące się spokojnie, nie potrzebowały nadzoru: mogliśmy więc zrobić myśliwską wyprawę na kangury. Dojechawszy do łożyska potoku, w którym na dnie sączyła się struga wody, dziwiłem się — jako nowicyusz w tych stronach — brakowi proporcyi między jego szerokością, a sączącą się wodą.

— Poczekaj trochę: to dopiero początek deszczowej pory — odpowiedział mi przewodnik wyprawy.

Po przebyciu strumienia, zagrały psy, tuż przed nami pomknęło stadko kangurów, i rozproszyło się na wszystkie strony. Psy zaczęły ścigać największego z nich, samca, mającego półtora metra wzrostu, który sadził przed nimi gwałtownymi skokami, wyciągnąwszy poziomo gruby ogon.

Puściliśmy się za nim pełnym galopem, co ze względu na rozpadliny i jamy w gruncie, nie było zupełnie bezpieczne, ale byliśmy przyzwyczajeni do takiej jazdy, a obudzona żyłka myśliwska zaślepiła nas do reszty na możliwość przypadku.. Dopóki jechaliśmy pod górę, kangur zyskiwał coraz większą przewagę, ale gdyśmy przejechali grzbiet wzgórza i zaczęli spuszczać się na drugą stronę, zobaczyliśmy, że ścigany zwierz przewinął parę razy koziołka i potykał się coraz częściej. Długie tylne nogi oddają kangurowi wielkie usługi w biegu pod górę, ale są przeszkodą przy zbieganiu z góry, tak samo jak u zajęcy.

Niebawem kangur zrozumiał, że nie zdoła uciec, wolał stawić opór psom, schroniwszy się pod wielki odłam skały, który go zasłaniał z tyłu. Bronią kangura są pazury u tylnych nóg. Krótkiemi łapami przedniemi obejmuje przeciwnika i przyciska do siebie, a tylnemi zadaje rany w brzuch, najczęściej śmiertelne.

Z nacierających psów jeden padł w mgnieniu oka, konający, z rozprutym brzuchem, z którego wypadły wnętrzności; reszta psów przerażona uciekła. Nasz przywódca chciał się popisać odwagą: odpiął w pełnym galopie jedno strzemię, puścił się wprost na kangura i rozbujawszy ciężkie żelazo, wymierzył nim prawą ręką potężny cios w głowę zwierzęcia. Ale chybił, cios minął kangura, a silny rozmach wysadził z siodła jeźdźca, który padł prosto w objęcia stojącego na tylnych łapach zwierzęcia. Koń uciekł, a stało się to wszystko tak prędko, że nie spostrzegliśmy odrazu niebezpieczeństwa, w jakiem jest nasz towarzysz. Kangur objął nieszczęsnego jeźdźca łapami, jak niedźwiedź, i już podnosił groźną nogę tylną, żeby rozpłatać nieszczęśliwego, jak już rozpłatał psa, ale nadbiegł na pomoc jeden z jeźdźców, wymachując ciężkiem strzemieniem. Ten nie chybił w uderzeniu: ugodził z taką siłą kangura, że zwierz runął na ziemię z roztrzaskaną czaszką, pociągając za sobą w upadku człowieka, którego nie zdążył zranić. Towarzysz nasz zerwał się zaraz z ziemi, a my nadbiegliśmy, żeby uściskać z radości jego i zbawcę.

Postradaliśmy już ochotę do dalszego polowania, tem więcej, że jeden jeździec pozostał bez konia. Pojechaliśmy w milczeniu napowrót do strumienia, gdzie pozostał murzyn ze śniadaniem. Ale murzyn wybiegł z krzykiem na nasze spotkanie.

— Woda idzie!

Popędziliśmy, chcąc przeprawić się przez strumień póki czas, lecz już było zapóźno. Musiało gdzieś nastąpić oberwanie chmury, i z małego, ledwie sączącego się strumyka w ciągu godziny zrobił się spieniony potok, niosący powyrywane krzaki i drzewa. Woda toczyła rozhukane fale, rozlawszy się szeroko, jak morze.

Trzeba było uzbroić się w cierpliwość i czekać. Zjedliśmy śniadanie i puścili konie na trawę, a że woda wkrótce zaczęła opadać z równą szybkością, jak przybrała, jeszcze przed wieczorem udało się naszym koniom przepłynąć przez nią. Pomimo niebezpieczeństwa, odważne zwierzęta przeniosły nas na drugą stronę, i powróciliśmy przed nocą, zdrowi i cali do naszej fermy. Zabłąkany koń dogonił nas podczas biwaku.

Broń myśliwska przed 100 laty w Polsce.

(Ciąg dalszy).

O zamku sztućca lub strzelby.

Dobry zamek przy broni ognistej, jeżeli jest wedle prawideł zrobiony, niemałą stanowi wygodę; nie powinien on być twardo spuszczający, gdyż strzelanie kulą wymaga wielkiej akuratności. Przytem kurek nie powinien być wysoki, ale na pierwszem odprowadzeniu mocny, sam przez się nie spuszczający: albowiem przez niedbałość częstokroć opatrzenia zamku bywa przyczyną najokropniejszych wypadków. Chcąc się od nich zabezpieczyć, potrzeba, aby w wałku wewnątrz zamka narżnięcia były doskonałe i dosyć głębokie, sprężyny dobrze hartowane: lecz twardość ich stosować się powinna wedle każdej przeznaczenia: jak np. sprężynka wewnątrz zamka cynglem pociskana, nie powinna być twarda, albowiem wymagałaby silnego pociśnienia, przez co strzelający nie mógłby fuzyi bez strącenia wytrzymać, a tem samem w metę naznaczoną trafić. Druga sprężyna także wewnątrz wałka rządzona, powinna być silniejsza, czyli twardsza od sprężyny zewnętrznej deklowej: gdyż inaczej, gdyby ta ostatnia była silniejsza; wówczasby za uderzeniem kurka dekiel nie odkrył panewki, i krzemień by się zbijał. Dla nadania sprawniejszego ruchu w sprężynach, rzemieślnicy w dobrych fuzyach pospolicie dają do sprężyny wałkiem rządzonej, i pod deklem będącej, walca, u myśliwych kołkami zwane: za pomocą ich, siła sprężystości w całej budowie zamka staje się powiększona.

Gdy dekiel będzie dobrze zahartowany, a iskry krzemienia silniejsze, i więcej działające na zapalenie prochu w panewce; natenczas skrzeszenie się rzadko przytrafi, i chyba tylko w przypadku zardzewiałego dekla, albo tępej skałki miało miejsce. Z dekla mniej zahartowanego za uderzeniem się o skałkę, większe części zlatują żelaza, nie mogące być przez iskrę krzemienia rozpalone do tego stopnia, aby wnet proch zapalać mogły. Chcąc wyraźnie o tem się przekonać, dosyć jest dać ognia za pomocą skałki i dekla nad papierem, i spadającym się iskrom przez powiększające szkło przypatrzeć; wtenczas jawnie dadzą się postrzedz cząsteczki żelaza w kształcie iskry spadającej; co wyraźnie dowodzi, że im dekiel lepiej zahartowany, tym iskry będą subtelniejsze i łatwiej rozegrzane.

Myśliwi, ochraniając panewkę i zapał od rdzawienia się, pospolicie każą rzemieślnikom wykładać je złotem lub platyną. Lecz to małą stanowi przysługę, a tem więcej gdy się robi przez niedoskonałego rzemieślnika: zamiast uchronienia się od psucia i rdzawienia żelaza, większą staje się do tego przyczyną. Rzemieślnicy nakładają złoto na panewkę nie hartowaną, a po nałożeniu dopiero zwykle hartują: przez co między złotem a żelazem przez ogień, chociaż w małej powłoce zniedokwasi się żelazo i tym sposobem nadal więcej przysposobi do rdzawienia. Także i cyna lutująca złoto do panewki przez ciągłe ogniwo za-

palającego się prochu stopnieje, a wpadająca wilgoć rdzawieć pocznie, aż póki złoto nie odpadnie, mianowicie jeżeli zapał zniżony jest ku panewce. Na ten koniec niektórzy amatorowie dla zupełnego ochronienia od podobnych niedorzeczności, każą zupełnie całą panewkę robić ze złota: lecz dosyć jest utrzymać w czystości żelazną dobrze zahartowaną, doskonale jak być może polerować, nie prędko zardzewieje, a też samę uczyni wygodę, co i ze złota albo tylko nim wykładana. Co zaś do zapału, najlepiej jest złotem drylować, w sposobie szruby złotej, która się wkręca, a później w tej wielkości stosownie do prochu, świdruje się zapał.

Reszta części stanowiąca sztuciec, jest kolba, gdzie niektórzy ze strzelających miewają poduszeczkę safianową lub aksamitną, dla wygodnego przyłożenia się: zwłaszcza w czasie zimnym. Antabka pokrywająca cyngiel, robi się pospolicie przy innych fuzyach metalowa, lecz do sztućca życzyćby należało, aby z tego samego drzewa była wyrznięta co i osada jego. Strzelanie ze sztućca bywa tylko na grubego zwierza, na którego najczęściej polujemy zimą, a stąd drewniana lub rogowa, jako nierównie na ów czas znośniejsza, i żadnego blasku odstraszającego zwierza nie okazująca, wygodniejsza być się zdaje. Inne antabki, jak np. przy sztęflu i w tyle kolby, mogą być metalowe. Zakrzywienie w przykładzie czyli kolbie, zostawuje się woli strzelającego i jego przywyknięciu. W kolbie sztućca pospolicie daje się szufladeczka z zasuwką na sprężynie, do której kładnie się skórka jelenia, łojem z jednej strony wysmarowana, i służąca do obwijania kul w czasie nabijania sztućca.

Skoro sztuciec wedle powyższych prawideł będzie urządzony, wówczas należy go wydobywać strzelając do naznaczonej mety, a to dla zapewnienia się czy równo bije, i dla wynalezienia przyzwoitej wagi w kuli miary naboju prochu. Myśliwi zalecają brać formę kuli i stosowną do kalibru rury, i ją prochem dwa razy i pół napełnić, tak, że jeżeli objętość kuli będzie jak $2^1/_2$; to objętość prochu jak 5, czyli $2^1/_2$ raza większa powinna być objętość prochu od objętości kuli.

Dalej nad 150 albo najwięcej 200 kroków ze sztućca się nie strzela, dlatego należy którykolwiek z pomienionych celowników z wyrznięciem tak urządzić, aby w wyrażonej odległości naprowadzić do mety wielkości rubla, biorąc w brzeg niższy, a kula aby trafiła w sam środek tejże mety. Skoro sztuciec góruje, celownik wyższy spuścić, a na średni nastawić. Jeżeli zaś niży, tedy go podjąć. Gdyby kula w stronę którąkolwiek zbaczała, celik a nawet i same celowniki w przeciwną stronę posunąć i nazawsze już przylutować.

Probując fuzyi, a tem bardziej sztućca, trzeba być pewnym doskonałego wytrzymywania w czasie wystrzału, żeby najmniejsze poruszenie ręki, a ztąd i nietrafienie do przedmiotu, niebrano za wadę fuzyi; dla pewniejszego trafienia można łokieć lewej ręki, albo w miejscu ostatniej antabki sztęfla ku zamkowi oprzeć na czemkolwiek, przez co pewniej można o fuzyi sądzić.

O nabijaniu sztućca.

Nabijając sztuciec, należy najprzód panewkę papierem lub pakułami przykryć, dekiel na nią odłożyć, aby proch przechodzący przez zapał w nim się pozostał: silne albowiem wpędzanie kuli, może w takim razie być bezpieczniejsze, a tem bardziej jeżeli zamek jest niepewny, i na pierwszem odprowadzeniu niemocny. Potem sypie się dobrana miara prochu do rury, nakłada się na koniec rury skórka jeleńkowa albo od rękawiczki damskiej, z jednej strony łojem wysmarowana, a na przeciwną kładzie się dobrana kula, która się silnie młotkiem zapędza, tak jednak, żeby brzegi skóreczki dobrze ogarnęły kulę. Potem się sztęflem żelaznym aż do prochu zapędza, i jeżeli sztęfel odskakuje, znakiem jest, że kula na miejscu o proch się oparła. Cała dzielność w trafieniu na tem zależy, aby jak najszczelniej była zapędzona. Zresztą zdejmuje się papier z panewki i nasypuje się na nią prochu. Co dopełniwszy, sztuciec już do strzału gotowy mamy.

Aby w czasie polowania mieć wszystko na pogotowiu wedle dobranej miary prochu, naboje mają być przygotowane. Kule skóreczką pomienioną obwinięte i w papier miękki obłożne kładną się w pomienioną szufladkę, u kolby sztućca będącą, gdzie kule tak przygotowane między sobą się nie trą, i papier od nich do zakładania panewki zawsze jest pod ręką.

Znajdują się sztućce wewnątrz rury nie gwintowane, w kształcie ślimakowatym, jak się już powiedziało, mające prostych rowków ile im upodobanie rzemieślników nadaje, albo obszerność wylotu rury pozwala. Rowki te powinny być równej odległości między sobą, i równej wszędzie głębokości. Takowe sztućce najwięcej wychodzą z fabryk niemieckich, lub angielskich, i pospolicie nabijają się szrótem. Jeżeli rura zrobiona jest z miękkiego żelaza, biją dobrze: inaczej rzadko się udają; również używają się do kuli. Jakożkolwiek bądź, dzielność ich rzadko wyrównywa mocy sztućców gwintowanych ślimakowato.

O fuzyi czyli strzelbie.

Lubo strzelanie ze sztućca kulą jest pewniejsze i dzielniejsze; jednak gdy liczba zwierząt grubych, jako: łosi i dzików znacznie zmniejszona została; i użycie sztućca poszło w zaniedbanie. Fuzye zaś służące jedynie do ptactwa i wygodniejsze na zwierzęta drobne, stały się wszędzie upowszechnione; a chociaż przeznaczenie ich zdaje się być tylko do szrótu, atoli w mecie niezbyt odległej, równie pomyślnie jak ze sztućca kulą strzelać można.

Fuzye jak liczne są w gatunki, tak i w nazwiska, które pochodzą od fabryk, albo szczególnych przymiotów składu i użycia. W ogólności podzielić je można na dubeltowe i pojedyncze, że zaś myśliwemu wiadomość o każdej z nich nie powinna być obcą i obojętną, w krótkości o każdym gatunku z kolei nadmienię.

(D. c. n.).

Zwierzyna stepowa.

Na szerokich, porosłych bujną roślinnością stepach, zda się, spokój zupełny panuje. Ale to tylko pozorne. Oto, ponad różnobarwnymi kwiatami uganiają się — także różnobarwne — motyle. Pszczoły i poważne trzmiele zbierają miód i pyłek kwiatowy, a ciągłemu ich brzęczeniu wtóruje monotonne ćwierkanie świerszczów. Pod uschłymi liśćmi dziewanny kryją się zwinne jaszczurki; trawy drżą niekiedy, roztrącane śliskiem ciałem węża. A wiatr niesie zdala urywane wołanie *przepiórek*. Tam, na łysawej równinie, stanął duży ptak, przypominający nieco indyka. To *drop*. Siwą, z rdzawym pierścieniem, szyję wyciągnął, głowę z rozpierzchłemi bokobrodami pochylił lekko — nasłuchuje... Siwawo-żółty grzbiet z czarnemi w poprzek pręgami i biały spód ptaka widoczne są na tle zieleni. Nie podchodźmy bliżej, czujny drop jest bardzo bojaźliwy, spłoszy się i ukryje w gęstej trawie. Podejrzliwe to i skryte ptaki. W zwyczajnym czasie trzymają się razem po kilkanaście sztuk. Pokarm biorą roślinny, żerując za dnia wśród stepu. Nie doścignąć ich okiem, gdy szybko uwijają się między trawami! Bieg mają bardzo prędki, za to lot — ciężki, zwłaszcza trudno zrywają się z ziemi. Na noc całe stadko wybiera łyse miejsce, by módz, dla bezpieczeństwa, mieć okolicę na oku. W porze lęgu żyją parami. Gniazdo, wygrzebane w ziemi i wysłane miękko, świetnie jest zaszyte w najgęstsze trawy. Trudno je wyśledzić, gdyż dropie, dla zmylenia, nadkładają drogi i lawirują, nim zbliżą się do gniazda. Jaj bywa zwykle dwa. Pręgowane pisklęta są karmione owadami. Samica bardzo

dba o te młode istotki. Jest ona mniejszą od samca, ma upierzenie skromniejsze i nie posiada brody. Na zimę ptaki łączą się w większe stada. Dropie na stepach Europy są osiadłymi, w Azyi przelotnymi ptakami.

Na stepach azyatyckich można spotkać smukłego, barwy piasku — *pustynnika.* Kształtem przypomina nieco jaskółkę, ale jest znacznie większy; biega dobrze. Piękny, duży *myszołów-berkut,* ów chan stepowy, pobiera wielki haracz z myszy polnych, nie gardzi przytem daniną z większych zwierzątek, a czasem złowi nawet niewinną przepiórkę. Niekiedy, na jasnym sklepie nieba zaciemnieje kształt *orła* w przelocie.

Podpatrzmy teraz życie drobnych gryzoniów — *susłów.* Oto większy obszar ziemi znaczą mało dostrzegalne otwory. To wnijścia do mieszkań zwierzątek; nora posiada kilka rozgałęzień. Właśnie wychylił się z otworu suseł, stanął słupka, rozgląda się po okolicy i nagle znika pod ziemią. Ładne to, mniejsze od wiewiórki, zwierzątko, ma ciało walcowate, o krótkich nóżkach i ogonku z kitką, żywi się roślinami i ziarnem, a zimę przesypia, stąd powstało przysłowie: „śpi, jak suseł"'. Zęby przednie jego, jak u wszystkich gryzoniów, w miarę ścierania, wciąż narastają. Cień niebezpieczeństwa minął, znów ukazują się główki, i oto zwierzątka biegną po własnych, ubitych dróżkach, na żer.. Zdala słychać ich głosy, ostrzegania wzajemne. Z większych gryzoniów, pospolity jest na stepach żółto-szary *bobak,* żywiący się młodemi roślinami i ziarnem.

Przed 200 laty żyła na Ukrainie piękna, o przeświecających, krótkich rogach, *antylopa suhak,* teraz spotyka się ją na stepach południowej Rosyi i trawiastych bezrzeżach Azyi. Na tych ostatnich, falistych obszarach bujają *dzikie konie* i liczne stada *dzikich osłów.* Konie te zwane „tarpanami", małe, o silnych nogach, prostej szyi i dużej głowie, z krótką zwichrzoną grzywą, tworzą nieliczne stada pod wodzą silnego ogiera. Przebiegają step, stosownie do spasionej trawy. Są bardzo płochliwe; podobnież i osły dzikie, których Azya środkowa ma dwa gatunki: „onagra" na zachodzie i „kułana" na wschodzie. Osioł kułan (inaczej dżigetaj) przypomina nieco konia i osła: głowę ma zgrabną i uszy nieduże; natomiast postawą, dosyć zresztą zręczną, ciemną pręgą na krzyżu, oraz ogonem — zdradza osła. Onager łatwiej się od niego oswaja, i przypuszczają, że jest on przodkiem osłów swojskich. Wszystkie te zwierzęta trawożerne, mają wrogów w postaci *wilków.* Podkradają się one pod stada biegunów, ale biada, gdy zwierzęta napastnika zwietrzą, śmiało uderzają na niego przedniemi kopytami, a wilk nie często wychodzi zwycięzcą. Drugim stepowym rabusiem jest *rosomak,* niewielki, kształtem przypominający kuny, strasznie krwi chciwy i mordu. Zabija, przy nadarzonej sposobności, po kilka sztuk zwierzyny, nie mogąc jej nawet pożreć!

(Dok. nast.)

„Portugalczyk".

W niektórych krajach nazywają „Portugalczykiem" myśliwego-partacza, który często pudłuje. Podobno nazwa ta pochodzi stąd, że za dawnych czasów nazywano krótko „Portugalczykami" Żydów, wypędzonych z Portugalii, którzy rozproszyli się potem po całej Europie, a którzy, na ogół, jak wiadomo, nigdy nie byli świetnymi strzelcami.

Ciekawy jest jeszcze dla nas szczegół, podany przez „Deutsche Jaeger Zeitung", że nazwę tę wprowadził pierwszy do niemieckiego piśmiennictwa łowieckiego, niejaki Korwin-Wierzbicki, który redagował niemieckie pismo myśliwskie przed rokiem 1848. Bliższych szczegółów o owym redaktorze gazeta nie podaje, przytacza tylko mimochodem, że odegrał rolę w rewolucyi Badeńskiej, a potem w wojnie amerykańskiej. Był to jednak niezawodnie Polak, mimo, że Niemcy jego nazwisko podają w pisowni następującej: „Corvin-Wiersbitzky".

Strzelanie do gołębi.

Kontygens strzelających w ostatnich dniach zmniejszył się do *minimum,* z powodu letnich wczasów. Gdyśmy po raz ostatni opuszczali plac strzelania (w d. 26 lipca), w którym zastęp sporsmenów ograniczył się do 6 — 7 strzelających, było to w dzień przyboru Wisły. Na plac już przeprawialiśmy się łódką przez łachę wiślaną pod stacyę pomp wodociągowych, a gdy powracaliśmy z placu, szerokość łachy zwiększyła się znacznie, a dostęp do łodzi był utrudniony, woda bowiem z każdą godziną zajmowała teren coraz szerszy. Na placu spodziewano się zalewu w ciągu nadchodzącej nocy. Podnoszono więc wysoko płótna żaglowe, okrywające trybuny, przytwierdzono kołkami urządzenia drewniane i czyniono wszystko, co się przewidzieć dało, aby woda nie zabrała całego *tir aux pigeons.*

Te przygotowania do walki z rozszalałym żywiołem smutne robiły wrażenie.

Powódź przyczyniła Zarządowi nie mało kłopotu; wszelkie urządzenia usunięto w bezpieczne miejsce, tak, że został jedynie parkan, który na wysokości 2 i pół łokcia był pod wodą.

Z tej że samej przyczyny w dniu 2-im sierpnia strzelania nie było, o czem komitet Koła Sportowego ogłosił.

Kancelarya Koła sportowego, mieszcząca się już przy ul. Królewskiej Nr. 23, nie mało miała kłopotu z uporządkowaniem placu, po ustąpieniu powodzi.

Po uporządkowaniu placu odbyło się strzelanie następne d. 9 b. m.

J. Z.

Z placu.

Dnia 26 lipca.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%. Wpis 5 rb.

Pp. br. du Puget-Puszet $26^1/_2$ m. 11111 . . . . $^5/_5$.
H. Lilpop 27 m. 11111 . . . . $^5/_5$.

Przyjmowali udział pp. K. Jasiński, Zdziechowski, dr. Korybut-Daszkiewicz, hr. H. Plater i Pleszczyński. Dwaj pierwsi nagrodami się podzielili.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Wpis dowolny.

P. H. Lilpop 27 m. 11111 . . . . $^5/_5$.

Przyjmowali udział pp. hr. H. Plater, Pleszczyński, br. du Puget-Puszet, Zdziechowski, dr. Korybut-Daszkiewicz i K. Jasiński.

Pula dubletowa na 3 dublety 24 met. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%. Wpis 5 rb.

Pp. H. Lilpop . . . . $^1/_1$ $^1/_1$ $^0/_1$.
hr. H. Plater . . . . $^0/_1$ $^1/_1$ $^0/_1$.

Przyjmowali udział pp. K. Jasiński, br. du Puget-Puszet Pleszczyński, dr. Korybut-Daszkiewicz.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Pierwszemu 75%, drugiemu, z tego stawka. Wpis 5 rb.

P. Antoni Wolski 24 m. 110111111 . . . . . . $^8/_9$.
H. Lilpop 27 m. 01111110 . . . . . . $^7/_8$.

Przyjmowali udział pp. K. Jasiński, hr. H. Plater, i Zdziechowski.

Pula (handicap) na 1 gołębia. Pierwszemu 50%, drugiemu 25%. Wpis 10 rb.

Pp. hr. H. Plater 24 m. $^2/_2$ i H. Lilpop 27 m. $^2/_2$ — podzielili się nagrodami.

Przyjmowali udział pp. K. Jasiński, A. Wolski, Pleszczyński, br. du Puget-Puszet.

Pula dubletowa na 3 dublety 24 met. Pierwszemu 75%, drugiemu z tego stawka. Wpis 10 rb.

Pp. br. du Puget-Puszet . . . . . $^0/_1$ $^0/_1$ $^1/_1$ $^0/_1$ $^1/_1$.
H. Lilpop . . . . $^1/_1$ $^0/_0$ $^1/_1$ $^0/_1$ $^0/_1$.

Przyjmowali udział pp. A. Wolski, dr. Korybut-Daszkiewicz, Zdziechowski i Pleszczyński.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Pierwszemu 75%, z tego drugiemu stawka. Wpis 5 rb.

Pp. br. du Puget-Puszet $26^1/_2$ m. 11111 . . . . $^5/_5$.
hr. H. Plater 24 m. 11110 . . . . $^4/_5$.

Przyjmowali udział pp. A. Wolski, dr. Korybut-Daszkiewicz, Pleszczyński i H. Lilpop.

W dniu 9-ym b. m. rozegrano następujące pule:

Pula (handicap) na 3 gołębie. Pierwszemu 75%, drugi cofa stawkę. Wpis 5 rb.

P. H. Lilpop 27 m. 111 . . . . 3/3.

Przyjmowali udział pp. S. Zaborowski, Bacciarelli, Wodziński, Karski.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Pierwszemu 75%, drugi cofa stawkę. Wpis 5 rb.

P. A. Wolski 11111 . . . . 5/5.

Przyjmowali udział pp. Dr. Horodyński, S. Zaborowski, Bacciarelli, Lilpop H., Wodziński.

Pula (handicap) na 5 gołębi. Warunki jak wyżej. Wpis 5 rb.

P. H. Lilpop 111111 . . . . 6/6.

Przyjmowali udział pp. A. Wolski, Wodziński, S. Zaborowski, Drozdowski.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Warunki jak wyżej. Wpis 5 rb.

Pp. A. Wolski i H. Lilpop 1111111111 . . . . 10/10.

Nagroda podzielona.

Przyjmowali udział pp. S. Zaborowski, Wodziński, Drozdowski.

Pula dubletowa na 3 dublety. Wpis 5 rb.

P. H. Lilpop 1/1, 1/1, 0/1 . . . . 5/6.

Przyjmowali udział pp. S. Zaborowski i Wodziński.

Pula (handicap) 5 gołębi. Wpis 5 rb.

P. Wodziński 111011 . . . . 5/6.

Przyjmowali udział pp. Lilpop H., S. Zaborowski, Wolski, Drozdowski.

Pula (handicap) na 3 gołębie. Wpis 5 rb.

P. A. Wolski 111111 . . . . 6/6.

Przyjmowali udział pp. Lilpop H., S. Zaborowski, Wodziński.

Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Na posiedzeniu wydziału ochrony z d. 10 sierpnia r. b. postanowiono otworzyć polowanie na kuropatwy i przepiórki:

Na terenach Osieckich w dniu 1-ym września z wyjątkiem Górek i Sobień Szlacheckich, na których to terenach otworzyć w dniu 14-ym września.

Na terenach Miedzeńskich w dniu 9-ym września z wyjątkiem Jartypor, Warchołów i Butlerowa, na których to terenach otworzyć w dniu 21-ym września r. b.

Drobiazgi myśliwskie.

Obława na wilki. W powiecie horeckim, gubernii mohylowskiej, w pobliżu wsi Nikitinki, dokonano obławy na wilki. W obławie wzięło udział około 2,000 włościan ze wsi okolicznych. Zabito około 50 wilków.

Straszny wypadek na polowaniu. Z gub. wiackiej donoszą, że niedawno mieszkaniec gubernii płockiej, powiatu sierpckiego, wsi Stropkowo, Antoni Stefański, zesłany w r. z. do gub. wiackiej z Warszawy, padł ofiarą strasznego wypadku. Wybrawszy się wieczorem, wraz z towarzyszem swoim, również zesłańcem, na polowanie na kaczki, Stefański, siadając do łódki, odwiódł kurek od strzelby, i przez nieostrożność uderzył kurkiem o brzeg łódki. Nastąpił strzał i Stefański, ugodzony w pierś, padł trupem na miejscu.

Lwy i słonie w gub. kijowskiej. Pisma rosyjskie donoszą, co następuje. Dokonywane obecnie w Kijowie badania archeologiczne w obrębie cerkwi Diesiatinnej, dają bardzo cenne wykopaliska. Dokonywane zaś od roku 1893 do r. 1905 przez p. Chwojkę badania geologiczne Kijowa dostarczyły również ogromnie cennych zabytków z epoki minionej, sięgających czasów o jakie 50 — 100 tysięcy lat wstecz. Wykopaliska te dowodzą, że w kraju naddnieprzańskim był klimat nadzwyczaj ciepły, że rosły wówczas w tym kraju cytryny, palmy, a ze zwierząt znajdowały się słonie, lwy, nosorożce, hyeny i t. d. Wogóle badania Kijowa dają uczonym dużo cennego materyału naukowego.

Zwierzę mangustan. Wł. J., Polak, będący w służbie wojskowej we Francyi, w listach swych drukowanych w „Słowie", a poświęconych opisom Indyj i Cejlonu, opowiada o ciekawem zwierzęciu, tępiącem węże — okularniki, czyli kobry, co następuje: Ukąszenie kobry działa, jak wystrzał rewolwerowy, i dotąd jeszcze nie wynaleziono żadnego ratującego środka. Jedyne zwierzę, które wcale kobry się nie lęka, a nawet przeciwnie, jest zażartym jej nieprzyjacielem, to małe zwierzątko, zwane „mangustan'em", przypominające naszą kunę. Mangustan, spostrzegłszy kobrę, najeża się zelektryzowany, rzuca się i przegryza szyję kobry z taką piorunującą szybkością, że żmija nie ma czasu uczynić najmniejszego ruchu. Po spełnionym fakcie, mangustan, mrucząc z zadowolenia, odchodzi z placu walki i więcej ofiarą się nie interesuje. W Indyach, w okolicach Kalkuty, istnieje barzdo dużo okularników; dlatego też we wszystkich hotelach chowają mangustany, jak u nas koty, ażeby przejezdni mogli spać w spokoju i bez obawy. Wieśniacy indyjscy, u których powonienie jest o wiele silniej rozwinięte, niż u nas, odkrywają kobrę zdaleka po zapachu. Podczas jednej z moich wycieczek, widziałem indyjskiego czarownika, polującego na kobry: Czarownik, po odkryciu żmii, podchodzi ku niej, jak można, najbliżej (okularnik nigdy nie atakuje pierwszy, nie będąc zaczepiony) i upatrzywszy miejsce, chwyta kobrę lewą ręką z szybkością błyskawicy, jak mangustan, zaraz przy łbie tak, ażeby żmija nie mogła paszczy obrócić. Następnie, prawą ręką wyrywa za pomocą dwóch klinów z bambusu, okularnikowi kły i rzuca go na kawał czerwonego sukna, na które spływa jad, podczas gdy okularnik z bólu gryzie sukno ze wściekłością. Naturalnie każde chybienie lub brak decyzyi ze strony czarownika grozi mu nagłą śmiercią. Podczas tej wycieczki, mój kolega i ja, trzymaliśmy na pogotowiu, każdy w swoim worku, mangustana na wypadek osobistej obrony.

Słuch wilka. W paryskim instytucie psychologii zoologicznej dokonano szeregu doświadczeń ze zwierzyną, badając najprzód słuch wilka. Wilk „to zwierzę tajemnicze, dziwaczne i fantastyczne", obdarzony jest, jak się zdaje, słuchem, niezmiernie subtelnym, podobnie, jak kot; nie mniej narazie trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób możnaby go zmusić, żeby nam dał do poznania, od jakiej liczby drgań począwszy, odczuwa dźwięki. Jest to wszakże eksperyment, który można przeprowadzić w sposób dosyć prosty, przy pomocy zoopedii. Weźmiemy tedy wilka i zaczniemy go kształcić. Gdy, po dniach kilku, drogą zwykłej tresury, dojdziemy do tego, że nasz wilk potrafi leżeć wyciągnięty na boku zupełnie spokojnie, każemy mu ułożyć się w tej pozycyi; następnie, po półminutowym odpoczynku, zaczniemy wywoływać drgania dosyć szybkie, t. j. dźwięk, wyraźnie „słyszalny", za pomocą syreny w pracowni fizycznej używanej; prawie jednocześnie, posługując się obrożą i postronkiem, podniesiemy możliwie gwałtownie wilka i damy mu kawałek mięsa. Powtarzając to doświadczenie, otrzymamy skojarzenie wrażenia, wywołanego drganiami syreny i bodźcem ruchowym, który wilka zniewolił do powstania, do czynu, związanego z wrażeniem jedzenia mięsa. W końcu stosowanie postronka i obrozy stanie się zbyteczne; wilk, wyciągnięty na ziemi, czekać będzie na sygnał, dany przez syrenę, i skoro tylko dźwięk się odezwie — po umyślnej dłuższej lub krótszej chwili czekania — zwierz zerwie się na cztery łapy. Będzie to odruch zupełnie niezależny od jego woli, wyuczony. I oto już mamy zwierzę, gotowe do doświadczenia. Pozostaje nam tylko wywołać kilkakrotnie ruch wyuczony, zmniejszając przy każdej próbie wysokość dźwięku, przez syrenę wydawanego, czyli ilość drgań. Dopóki następować będzie reakcya, będziemy mogli ponawiać doświadczenie, wydając dźwięki coraz niższe, aż do chwili, kiedy na drganie powolne nie odpowie już żadna reakcya; staniemy wówczas u granic słuchowego uczucia wilka. Doświadczenie, w taki sposób przepro-

wadzone, wykazało, iż to zwierzę drapieżne słyszy jeszcze dźwięki, dla nas już zupełnie niedosłyszalne i że przestaje być wrażliwe dopiero na te, które wywołują mniej, niż sześć drgań na sekundę. Ucho wilka jest zatem obdarzone przedziwną bystrością, a stopień tej bystrości jest nam już teraz znany.

Osobliwości fauny wyspowej. W „Rev. Scient." czytamy, między innemi: Fauna wyspiarska częstokroć zasługuje na uwagę z tego względu, że zamieszkanie pewnej ograniczonej przestrzeni prowadzi niekiedy do poważnych zmian z punktu widzenia zmienności gatunku. Na wyspach często daje się zauważyć powstanie odmian, a nawet nowych gatunków, z drugiej jednak strony, odosobnienie wywołuje także czasem uwstecznienie, mniej, lub więcej wyraźne, Jako przykład, można przytoczyć faunę wyspy Mexiana, niedawno zbadaną przez Hagmanna. Wyspa Mexiana leży w ujściu Amazonki i zajmuje obszar 1,000 kilom. kw. Hagmann stwierdził przedewszystkiem nadzwyczajne ubóstwo fauny tej wyspy, co do ilości gatunków: na sąsiednim lądzie stałym liczą około 50 gatunków większych zwierząt ssących, gdy tymczasem na wyspie jest ich tylko około 14. Oprócz tego, prawie wszystkie te gatunki odznaczają się mniejszym wzrostem i wykazują w większości przypadków mniej, lub więcej wyraźne zboczenie od typu normalnego; dotycze to zwłaszcza większych gatunków. Wobec nieznaczej liczby osobników, szkodliwe skutki łączenia się płci, związanych blizkim węzłem pokrewieństwa, występują coraz wyraźniej, a co za tem idzie, odosobnienie może doprowadzić, jeżeli trwa dłuższy czas,, do zupełnego wymarcia gatunku. Jelenie Mexiany dają bardzo pouczający przykład. Hagmann stwierdził pośród nich częste zboczenia w budowie czaszki; rogi ich przedstawiają niezwykłą zmienność; uzębienie podlega bardzo wyraźnym zboczeniom od typu normalnego; wogóle wykazują niewątpliwe cechy zwyrodnienia, a nawet objawy chorobliwe, które mogą doprowadzić w krótkim czasie do zniknięcia tego gatunku. Jaguar, niedźwiedź, małpa, tapir i t. d. z wyspy Mexiany odznaczają się różnorodnemi anomaliami, nie tak posuniętemi, jak u jeleni, lecz w każdym razie bardzo wyraźnemi.

* *

Król kurkowy a król saski. Król saski, niefortunny mąż pani Toselli, bardzo często przyjeżdża do Styryi na polowanie, gdzie posiada rozległe dobra. Otóż niedawno temu z okazyi swego pobytu, był król saski w pewnem miasteczku styryjskiem, w którem właśnie odbywała się jubileuszowa uroczystość miejscowego towarzystwa strzeleckiego. Zaproszony przez specyalną deputacyę, przybył król na wspomnianą uroczystość. Prezes towarzystwa, „król kurkowy", wygłasza przed monarchą stosowne przemówienie. Król saski łaskawie wysłuchał przemówienia, poczem, mając na myśli swą godność królewską, mówi z humorem do „króla kurkowego".

— Właściwie pod pewnym względem, jesteśmy obaj kolegami...

„Król kurkowy" chwilę namyśla się nad odpowiedzią, wreszcie ku wielkiemu zdumieniu i przerażeniu obecnych odpowiada:

— Tak jest, Najjaśniejszy panie! Mnie także żona uciekła...

*
* *

Spostrzeżenia zwierzęco-hotelowe. W hotelu pod Strusiem, odkryłem zachwycającą gąskę.

— W hotelu pod Tygrysem, właściciel wcale nie był zazdrosny.

— W hotelu pod Jeleniem, wyrosły właścicielowi rogi dopiero po sprzedaniu zakładu.

— W hotelu pod Lwem, zacząłem ryczeć, gdy mi podano rachunek.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" **J. O.** *(C. d.).*

Sroka.

Na kogo sroki, na tego i wrony.
Nie srocem z ogona wypadł.
Przyleciała sroka, przyleciały dwie.
Spytała się sroka wrony: gdzie nasze zagony? a ona jej na to: nie tak kumosiu bogato.
Sroczka skrzeczy: trzy rzeczy, a trzy nie do rzeczy.
Sroka przyleciała, będą goście.
Sroka we krzu.
Sroka zawsze pstra zostaje, w którekolwiek leci kraje.
Sroka ze krza, a dwie w kierz.
Uniosłaby to sroka na ogonie.
Wszystkie sroki pstre.
Gada, jak sroka.
Wlepił oczy, jak sroka w gnat.
Patrzy z oka, jak sroka.
Rzegoce, by sroczka.
Skrzeczy, jak sroka na płocie.
Upstrzyła się, jak sroka.
Wypadł, jakby sroce z pod ogona.
Zagląda, jak sroka w kość.
Zlecieli się, by sroki do ścierwa.
O czem myślisz, o czem? o gniazdeczku sroczem.
Nałożył tego, jak sroka na gniazdo.

Stado.

Rzadko ten jastrząb kuropatwę schwyci, który się za całem stadem ugania.

Struś.

Jęczy, jako struś.
Strusi żołądek, podkowy trawi.

(C. d. n.).

Treść Nr. 16 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:
Smolna 40, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk „Drukarni Polskiej" (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.